



„Cyklista” na wycieczkach.

Lwów—Gdańsk.

Zamiłowanie do sportu kołowego wzrasta z dniem każdym, a rower bezwątpienia ma wielką przyszłość. Pominę tu milczeniem wyścigi, których zwolnikiem nie jestem, natomiast zachwyca mnie rower w zastosowaniu do nieforsownych wycieczek, jako odpoczynek po codziennem zawodowem zajęciu i jako środek turystyczny, który ułatwia i umożliwia odbywanie dalekich podróży tym nawet, którzy by w inny sposób i innemi środkami lokomocji wcale, a przedewszystkiem tak tanio podróżować nie mogli. Nadto jeszcze: zupełnie co

innego oglądać jakiś kraj lub miasto z okna wagonu, będąc zależnym i nie mogąc się tam, gdzieby się chciało zatrzymać, a co innego przejechać tak duży szmat ziemi na cyklu, w ciągłej z ludźmi styczności, będąc zupełnie niezależnym od niczego oprócz własnego upodobania. Widzi się wtedy stokroć więcej, słyszy się dużo, spostrzega o czem podróżny, przelatujący wagonem nawet pojęcia mieć nie może, wzbogaca doświadczenie — To też nic dziwnego, że odbywając taką podróż człek pragnie się podzielić wrażeniami z tymi bodaj, którzy mu są najbliżsi.

Tej to właśnie potrzebie czyniąc zadość, z każdego prawie noclegu pisywałem krótkie listy lub karty korespondencyjne do domu, które za powrotem uporządkowawszy, a zachęcony do tego przez redakcję „Cyklisty“ w formie notatek z podróży do wiadomości liczniejszego grona czytelników — niż pierwotnie były przeznaczone — podać się ośmieliłem. Zastrzegam się jednak najwyraźniej, że są to bezpretensjonalne notatki, pisane prawie na

kolanie, tuż przed udaniem się na spoczynek i po całodziennem zmęczeniu drogą, czasami może i nie dość ściśle obserwacje, któreby w niejednem zmienić należało, a jednak nie czynię tego i zostawiam je tak, jak powstały, tyle tylko, że z kilkunastu kart przepisałem je na jedną. Nowych ani ciekawych szczegółów czytelnik tu nie znajdzie—miłoby mi jednak było, gdyby ktoś, kto sport kołowy uprawia zachęcił się powyższym opisem, a uwierzywszy we własne siły i moje zapewnienie, że taka podróż do trudnych przedsięwzięć nie należy—we właściwym czasie wybrał się na objazd tych okolic, na czem niewątpliwie wiele zyska, wiele się nauczy, a co najważniejsza, stosunkowo nie dużo wyda pieniędzy.

Tyle zamiast wstępu.

W piątek d. 25 lipca z p. Kazimierzem Borkowskim wyjechaliśmy koleją do Rzeszowa, gdzieśmy stanęli niedługo przed zachodem słońca. Po kąpieli w Wisłoku i kolacji, w przesliczną noc księżycową, z dobrymi minami, a jeszcze lepszą fantazją, szczęśliwi, że daleko za sobą zostawiliśmy Lwów i wszystkie nasze obowiązki, dojechaliśmy przez Sokołów do Kamienia, upaliwszy 42 kilometry po najlepszej drodze, jaką mamy w tej części naszego kraju. Nazajutrz przez Nisko i Nadbrzezie, przeprawiwszy się przez Wisłę, dostaliśmy

się w granicę Królestwa Polskiego a około godziny trzeciej popołudniu stanęliśmy na komorze, gdzie nas zatrzymano przeszło trzy godziny z powodu formalności cłowych i paszportowych. Od każdego roweru złożyliśmy po 20 rs. kaucji, na co wzięliśmy odpowiednie pokwitowanie, przedtem jednak na austryjackiej stronie zaopatrzone nam maszyny w plomby, bo tylko z nią można bez opłaty cła powrócić w granice monarchii austryjackiej. Ohydna droga z brzegu Wisły do miasta po piasku, tamie, ułożonej z olbrzymich brył kamienia, a następnie pod stromą górą, zmęczyła mnie więcej, niż cała podróż, którą dotąd przebyłem.

Sandomierz, położony na stromym, prawym brzegu Wisły wygląda bardzo starożytnie i odznacza się przede wszystkim wielką obfitością żydów. Starożytna katedra wraz z gmachem seminarjum i starożytne spichrze, mające pochodzić jeszcze z czasów Kazimierza Wielkiego, przede wszystkim zwracają uwagę. Z innych gmachów, uderza rozmiarami dawny zamek, mieszczący dziś w sobie gimnazjum. Osobliwością są tarasy, piętrzące się wysoko ponad brzegiem Wisły, na których leżą wspomniane budowle.

W niedzielę 26 lipca około godziny 6 rano wybraliśmy się do przystani, aby statkiem parowym popłynąć do Kazimierza. Ponieważ woda znacznie w nocy przybrała i pozalewała te miejsca, które wczoraj suchą nogą przejść

można było, a powtórna przeprawa przez tamę z kamieni byłaby nad moje siły i trzeba by daleko okrażać, do czego czasu nie stawało — włożyłem moją maszynę jakiemuś człowiekowi na plecy, aby ją przeniósł, a sam dosiadłem konia, który ani spodziewając się, co go czeka, spokojnie stał nad brzegiem wiślanym. Było to zwierzę tak potwornie chude, że jego grzbiet wżarł mi się nietylko w... pamięć i głowę, a wspominam go jeszcze do tej pory, kiedy już dopływamy do Kazimierza.

Po drodze często spotyka się olbrzymie stare ruiny, które podróż statkiem urozmaicają i czynią bardzo malowniczą. Kazimierz również położony po prawym, lecz nie tak stromym brzegu Wisły jest zamieszkały przeważnie przez żydów, a z owych historycznych trzech domów, jakim równych podobno nie wiele znajdzie w Europie, już dwa są w żydowskiem ręku. Ruiny zamku myśliwskiego Kazimierza W-go smutno i ponuro sterczą nad miastem i okolicą bezleśną, toż samo położona opodal baszta, z której roztacza się cudowny widok na daleką przestrzeń. Kościół katedralny piękny strukturą, wewnątrz i zewnątrz biedny i zaniedbany, toż samo dawny klasztor, w którym dziś mieści się poczta — ledwo kupy się trzyma. Lud, który dawniej ubierał

się typowo, a bardzo malowniczo, dziś przebrany w lichą tandetę, nosi wysokie buty i używa czapek. Widok bardzo smutny i przykry; przykrzejszą mi jednak była następująca, dosłownie powtórzona rozmowa:

— Zkąd ten stary?

— Z naszej wsi.

— Czemuż wy takich czapek nie nosicie?

— Dawniej była stara moda, a my teraz niby na nową modę.

— I nie żal wam?

— E! nie, bo to tańsze.

Ze smutnem wrażeniem po tej rozmowie przeprawiliśmy się na drugą stronę Wisły, mając za przewoźnika piętnastoletniego żydka, który o ile początkowo nas przerażał, o tyle potem imponował nam wielką wprawą na bardzo tutaj szerokiej rzece, i przez najgorsze drogi, a raczej prawie bez dróg, tylko na przełaj podług mapy po piasku i lasku dotarliśmy nareszcie do szosy a wreszcie do Łagowa, gdzie odwiedziłem mojego kuzyna. Przyjęci gościnnie, jak tylko we dworze przyjętym być można, zanocowaliśmy, a nazajutrz rano przez Nową Aleksandrję dotarliśmy na noc do Iwanogrodu. Nie mogąc się dostać do miasta z powodu ciemnej nocy i rozmaitych dróg, prowadzących do fortów, a nie spotkawszy nikogo, ktoby nam powiedział, która prowadzi na stację — zaryzykowaliśmy wleźć na most na Wie-

przu, aby potem torem kolejowym dotrzeć do jakiegoś miejsca, gdzieby się posilić można było. Postanowienia tego omal nie przyplaciliśmy życiem—zaledwie bowiem zeszedliśmy z mostu, gdy stojąc na wysokim placie spostrześliśmy, że z dwu przeciwnych stron zbliżają się do nas dwa pociągi. Noc ciemna i plant wysoki—dwa pociągi idące na nas—to dość, aby stracić głowę. Na szczęście zaradziły temu siła i przytomność mego towarzysza. Wyrwał mi z rąk moją maszynę i wraz ze swoją zsunął się na dół, ja zaś dopadłem jakiegoś słupka, a chwyciwszy go kurczowo, szczęśliwie przebyłem tę chwilę, gdy mnie mijały buchające parą i świszczące potwory. Jakiś robotnik, spotkany na drodze zaprowadził nas na stację, a gdy tam posilić się nie było można, ciągle pod jego przewodnictwem dobiliśmy się przez moczary i torfowiska, grzęznąc po kostki w błocie do miasteczka, gdzieśmy zażyli dobrze zasłużonego wywczasu. Cyklo-
metr wskazuje 176 kilometrów, któreśmy do-
tąd ujechali. (D. C. N.)

„Cyklista” na wycieczkach.

Lwów — Gdańsk.

(Ciąg dalszy).

We wtorek 28 lipca przez Moszczankę i Ryki po znakomitej szosie, jak tam nazywają, pierwszej klasy, dotarliśmy do Gończyc, ponieważ jednak z nieba leciały ogień i siarka a upał był nie do zniesienia, skręciliśmy w bok do Sobolewa i tamże przerwawszy jazdę na cyklu wsiedliśmy na kolej, decydując się zajeżdżać do Warszawy tym prozaicznym środkiem lokomocji, jaki porządny cyklista powinien mieć w pogardzie. Wskutek depeszy, nadanej, w Sobolewie—na Pelcowiźnie czekało już na nas dwóch członków warszawskiego klubu cyklistów, mianowicie pp.: Fertner i Szyndler, którym, niech mi wolno będzie serdecznie podziękować. A towarzystwo ich i opieka były nam naprawdę potrzebne. Nieprzywykli do wielkomięjskiego ruchu, sądziliśmy zrazu, że będziemy każdej chwili roztratowani przez przejeżdżające wozy i powozy, a tylko obawa, aby się nie powstydzic przed warszawianami i nie skompromitować Lwowa, sprawiły, iż trzymałem się przewodnika i jak wąż, ale wąż potniejący ze strachu—przesuwałem się pomiędzy setkami dorożek, które w „kawalerskim” tempie zewsząd najeżdżały na nas.

Cóż powiem o Warszawie? Opisywać jej urok dla każdego swojskiego serca—jej czar, któremu każdy przyjezdny ulega—jej gościnność? Ależ to rzeczy powszechnie znane i po tysiąc opisane razy—nie też dziwnego, że zamiast, jak było w programie trzech—zabawiliśmy tam dni siedm. Dawni i nowi znajomi z klubu i pp.: B., u których znalazłem pomieszczenie, czynili wszystko, co było w ich mocy, aby nam pobyt uprzyjemnić i na długo utrwalić w pamięci. Drogę, nie bardzo zresztą forsowną, zniosłem wybornie, nie mogłem jednak znieść skutków gościnności warszawskiej, dla tego też w dniu 30 lipca zrobiłem wycieczkę do Jeziorny, ale jak się potem okazało, z deszczu wpadłem pod rynnę. Zwiedziłem tam fabrykę papieru, największą jaka jest w Cesarstwie i Królestwie, a tak wielką, jakich niewiele w w Europie. Zatrudnia ona około półtora tysiąca robotników, a jest w ciągłym ruchu przez cały rok bez przerwy; wyrabia papiery od najprostszych do najwykwintniejszych, aby zaś dać wyobrażenie o jej rozmiarach dodam, że spala dziennie trzy wagony węgla i wyrabia dziennie za 500 rubli towaru. Dyrektorem tej fabryki jest p. Przetaczyński, a technicznym kierownikiem p. Władysław Cichocki, blizki mi związkami rodzinnemi, nie też dziwnego, że gdy mój towarzysz o tyle młodszy, więc silniejszy odemnie w dalszym

ciągu po powrocie upajał się Warszawą, ja tymczasem musiałem się skazać na dobrowolną pokutę. Zamknięty w mieszkaniu p. B. ostatni dzień pobytu w Warszawie poświęciłem rozmyślaniom, że oprócz wie'u innych, człowiek ma tę wyższość nad zwierzęciem, że może jeść nad potrzebę i pić ponad miarę, a te rozmyślenia właśnie nie pozwoliły mi być na wyścigu stuwiorstowym, który się odbył d. 2 sierpnia w Warszawie. Lwów godnie reprezentował p. K. Borkowski, o czem zresztą „Cyklista“ obszernie się w swoim czasie rozpisał.

Nareszcie skończyły się piękne dni warszawskie i w poniedziałek dnia 3 sierpnia rannym pociągami wyjechaliśmy przez Aleksandrowo do Torunia. Tuż za Aleksandrowem jest pierwsza stacja pruska Otłoczyn zmieniony na „Ottlottschin“ i od tego miejsca więcej się polskich napisów nie widzi, a tylko bardzo rzadko słyszy polskie słowo. Do Torunia przyjechaliśmy pod wieczór, dość jednak wcześnie, aby się wykąpać w Wiśle po drugiej stronie miasta i przynajmniej powierzchownie je zwiedzić. Miasto imponuje starożytnym wyglądem, kościołami, z których większość przerobiona na protestanckie, wielką masą oleandrów, rozstawionych przed każdym prawie domem, czystością i co zatem idzie stosunkowo małą ilością żydów. Posąg Kopernika w rynku i kościół katolicki były przedewszystkiem przedmiotem naszej uwagi.

(D. C. N.).

Jarosław Pieniążek.

Jeżeli dotąd posługiwaliśmy się częścią kolejami, to teraz postanowiliśmy, a co ważniejsza dotrzymaliśmy postanowienia, całą drogę aż do Gdańska odbyć wyłącznie na rowerze, co nam przyszło tem łatwiej, że drogi pruskie są po nad wszelki opis znakomite. Kaucji za maszynę nie składa się tam wcale, za przewóz koleją nic się nie płaci, a służba z wielką uwagą obchodzi się z cyklem. We wtorek, dnia 4 sierpnia, zapłaciwszy bardzo skromny rachunek w pierwszorzędnym hotelu „Victoria“, który zdumiewał nas ładem i pościelą, zdającą się wonieć czystością, wyjechaliśmy o g. 6 r. i stanęliśmy na obiad w Graudenz, o którym nikt nie wie lub wiedzieć nie chce, że nazywał się Grudziądzem. Postanowiłem sobie przez całą drogę nie używać innego języka, jak polski, pomimo to cyklizm jest tak rozpowszechnionym i tak dobrze widzianym, że na każdym kroku i w każdym mieście łatwo się o tem przekonać było, a wszyscy najchętniej udzielali nam wskazówek i informacji. Zaopatrzywszy się w mapę, która nam miała ułatwić dalszą drogę do Gdańska, przeprawiliśmy się promem parowym przez Wisłę i w bardzo pospiesznem tempie dotarliśmy do Neuenburga (Nowe). Zanim weszliśmy do miasteczka, wdrapaliśmy się na stromy brzeg Wisły,

zkaąd rozpościerał się istotnie prześliczny widok, droga bowiem, którą przejechaliśmy dotąd, była bardzo nieciekawa. Napisy i szyldy wszystkie i wszędzie tylko niemieckie, a między temi jeden nas szczególnie uderzył: „Otto Sapiecha—Privat Secreter“.

— Czy to polak?—zapytałem jakiegoś przechodnia.

— On bil polak—odpowiedziano mi na to. Natomiast spotkała nas tam inna prawdziwie przyjemna niespodzianka. Jegomość ów, który powiedział nam: „Sapiecha bil polak“, wskazał nam hotel p. Drzymalskiego, gdzie można napić się kawy. Zbliżamy się tam i słyszyny fortepian i głos niewieści śpiewający. Porzucamy przeto nasze maszyny i jak szaleni pędzimy na górę. Oto właścicielka hotelu, żona niemca Drzymalskiego, który słowa nie rozumie po polsku, śpiewa pieśń w naszym języku a ma taki wyraz twarzy i taki blask jej bije z oczu, że się ją mimowoli w rękę ucałować pragnie. Zadziwiona naszym obcesowem zachowaniem się, rozgadała się po chwili. Nuty, te jedyne polskie nuty dostała od księdza wikarego, który je przywiózł z Krakowa; innych nie posiada. Towarzysz mój przyrzekł jej za powrotem przysłać małą biblioteczkę muzyczną, a ja zyskałem przysięgę, że choć oj-

ciec niemiec, to ona pierwszego syna, jakiego mieć będzie wychowa po swojsku. Piękna pani Drzymalska zarumieniła się po białka, ale jestem powien, że słowa dotrzyma.

Bez przygód i szczegółów, o którychby wspominać warto, minęliśmy wspaniały, podobno jeden z największych w Europie, most w Tezewie (Dirschau), na którym jest dozorcą polak, i bardzo późno, już dobrze po północy stanęliśmy w Gdańsku. W ciągu dnia zrobiliśmy około 156 kilometrów a cyklometr wskazuje ich 410 od chwili wyjazdu z Rzeszowa. Z powodu jarmarku św. Dominika mieliśmy trudność ze znalezieniem noclegu, nareszcie dostaliśmy go na Langengasse w hotelu petersburskim i, co za traf szczęśliwy, właścicielem jest polak Czarnecki, a buchalterem też polak A. M. Bielawski. Czuliśmy się tam więc jak w domu.

We środę, dnia 5 sierpnia, pomimo zmęczenia, po tak forsownej jeździe wczorajszej, zerwaliśmy się rano, tak pilno nam było do morza. A morze – to marzenie moje od lat najmłodszych. O moje drogie kółko! jakżesz cię Kocham i jak ci wdzięczny jestem, żeś mi to umożliwiło! Czyż taki chudopacholek jak ja, byłby tam kiedy? Czyż miał bym odwagę wybrać się w taką podróż koleją i narazić na podobne wydatki?

Z Gdańska do Sobotów wyjechaliśmy koleją—droga trwa niecałe pół godziny. Kiedyż wreszcie zobaczę to morze?—pytam i pokazują mi je. Patrząc przez okno wagonu i oczom nie wierzę: roztacza się coś ciemnego, co wygląda zdaleka jak świeżo zorana tłusta rola, która wznosi się lekko w górę i zlewa z widnokregiem. Dostaję niemal gorączki—nie mogę się doczekać stacji—nareszcie pociąg staje—wyskakuję i wybiegam. Nie patrzę na prześliczne wille, nie cieszę się, że coraz częściej słyszę mowę swoją, której tak byłem spragniony—pędzę i pędzę, aż nareszcie staje na brzegu.

Ah! co za widok! Ta brudna, poorana, tłusta rola, to najpiękniejsza, najczystsza woda jaką widziałem, to zbiór miliona Popradów, Stryjów, Świc i jak się tam nazywają nasze przezrocyste górskie rzeki i ani jednej mętnej Wisły. Niestety, żaden statek nie odchodził o tej porze—a tu tak pilno było puścić się na wodę. Co prawda ze względu na pogodę i zupełny brak wiatru proponowano mi wsiąść na małą łupinę laskowego orzecha, ale nie miałem odwagi. W pięć minut potem popłynęło nią dwoje młodych ludzi. Zazdrościłem, ale już po niewczasie. Zresztą oni się tak kochali — patrzyło im to z oczu—mogli utonąć razem bez żalu.—A ja? jeszcze jestem tam daleko potrzebny. Zanim pierwszy statek przyjedzie z Gdańska i popłynie na Hełę, zaj-

mijmy się brzegiem i tem, co się tam widzi, a nadewszystko wykąpnymy się w morzu.

Idziemy do łazienek i na wstępie zaraz napotykamy dwóch lwowian, dr. Czarnika i kupca, Dydyńskiego. Na wielkiej czarnej tablicy czytamy; „Temperatura powietrza 20, wody 25“, ależ to zachwycające! Mały chłopak podaje mi bieliznę, rozrywam na sobie ubranie i jestem w morzu—kąpię się i czekam na pierwszą falę, ale fale nie przychodzą, morze nadzwyczaj spokojne.

Na brzegu też nowe dla mnie, a niezwykle widoki. Małe dziecięta bosy, w spodeńkach lub majteczkach zawiniętych, jak można najwyżej, z rydelkiem w jednej, a blaszanką w drugiej ręce, uwijają się, zbierając muszle lub bawiąc się w piasku. A wszystko takie zdrowe. Czemuż tu moich dzieci niema i nie będzie—boć trudno je zabrać na rower?!. Ta myśl na chwilę psuje mi humor i odbiera fantazję. Cokolwiek dalej od brzegu zbierają się starsi. Przychodzi taki sobie pan elegancki, lub dama arcy-dystyngowana, patrzę — pogrzebią trochę nogą w piasku, i buch! leży jak długi i godzinami sobie wygrzewa się na słońcu. Ha, myślę, musi to być dobre—więc też czynię tak samo — grzebię dołek nogą — urządzam z piasku poduszkę i leżę.—Rozkosze!..

(D. C. N.)

Jarosław Pieniążek.

„Cyklista” na wycieczkach.

Lwów—Gdańsk.

(Ciąg dalszy).

Brdzi mnie świst. Statek odchodzi na Helę. Kupujemy bilet za półtorej marki i jazda. Oddalamy się coraz bardziej od lądu, już go prawie nie widać, czekam na chorobę morską, a ona nie przychodzi. Zaczynam być zły i wymyślam takiemu morzu. Cóż powiem we Lwowie, jak się przyznam, że nie miałem morskiej choroby, po jakiegoż licha głodziłem się i nie jadłem od rana? Włazę do kajuty, jem butersznity i zapijam je piwem. Przestaję być zły, bo przestałem być głodny. Płyniemy dalej. Lądu już nie widać wcale — z trzech stron tylko morze, a widnieje jeno zdala latarnia morska na Heli.

Nareszcie po trzech prawie godzinach podróży stajemy u celu. Proszę zobaczyć na mapie, bo warto. Nawet na dużej Hela przed-

stawia się jak cieniutki sznureczek. Zdaje się że rozmachawszy się, przeskoczyć ją można. Jest to jedna ławica piasku, rzadko porośnięta marnemi sosnami. Po jednej i drugiej stronie szereg małych domeczków drewnianych, środkiem wolne przejście szerokości naszej ulicy—cała wieś nie ciągnie się nad pół kilometra—potem drzewa, trochę lichej trawy na piasku na końcu wieża morska i tyle!... Drapiemy się na nią po bardzo wygodnych i jasnych schodach i zachwycamy widokiem. Istotnie oryginalny!. Zdaje nam się, że jesteśmy w środku morza, bo z wysokości prawie nie widać domeków, a lasek wydaje się, jak mała, wąziutka zielona wstążeczka. Nasyciwszy się widokiem schodzimy i oglądamy wioskę. Próbujemy mówić po polsku, nikt nas nie rozumie, lub udaje, że nie rozumie. Co mieszkaniec to typ. Kobiet ani dzieci tak dużych, jak tam, nigdy nie widziałem—mężczyźni o charakterystycznym zarósćie bez wąsów. Wszystko opalone, silne, rozrosłe i nic dziwnego, całe życie spędzają na morzu, a żyją wyłącznie tylko z rybołówstwa.

Ściśle po dwu godzinach pobytu na Heli statek odpływa z powrotem. Zachwycam się morzem jeszcze bardziej, a żałuję tylko, że takie spokojne, takie martwe. Lecz i tu miałem doznać przyjemności. Powstał naprzód lekki wiatr, potem deszcz ulewny, a nareszcie wiatr coraz silniejszy, tak, iż mieliśmy prawie

burzę morską. Statek począł się kołysać wcale przyzwoicie i należało się dobrze uchwycić poręczy, aby nie stracić równowagi i nie wpaść do morza. Byłem bardzo szczęśliwy i zacząłem już nie morze lecz siebie obserwować, jakie burza na mnie uczyni wrażenie. Jestem nadto nerwowy, abym mógł być odważnym, sądziłem przeto, że będę się bał wzburzonego morza, płynąc na statku, rzucanym falami, które dochodziły do wysokości półtora metra. Tymczasem nad wszelkie spodziewanie doznałem zupełnie innego uczucia. Ten mały, marny człowiek, płynący na takiej łupince, jaką jest statek w porównaniu do wielkości morza, jeśli tylko nie jest absolutnym tchórzem, równie sam w swoich własnych oczach, wydaje mu się, że jest bardzo potężnym, bo zdołał zbudować coś takiego, co się opiera wzburzonemu morzu—chwytając się obu rękami poręczy—uśmiecha się sam do siebie, słucha ryku i wycia fal i jest bardzo szczęśliwym. Coby jednak było na pełnem morzu i podczas prawdziwej burzy, powiedzieć nie umiem—bardzo być jednak może, że nie na długo by mi starczyło tej pewności siebie, która mnie tym razem ani na chwilę nie opuszczała.

Późnym już wieczorem wypogodziło się—o godzinie dziewiątej statek zawinął do Sobotów—a później naprzód morzem, a potem ka-

nałem, po którym chodzą największe potwo-
ry morskie i statki wojenne — dowiózł nas do
samego Gdańska. O północy byliśmy w do-
mu, mimo zmęczenia spać nie mogąc, przela-
dowani tylu wrażeniami, odniesionemi w ciągu
jednego dnia, tak przyjemnie zapisanego w na-
szej pamięci.

Czwartek dnia 8 sierpnia podzieliliśmy so-
bie na dwie części — przeznaczając rano na
zwiedzenie miasta a popołudnie i wieczór po-
święciliśmy morzu. Już po kilku krokach, któ-
re zrobiliśmy w mieście, spostrzegliśmy z ża-
lem, że mamy za mało czasu, aby obej-
rzeć choćby tylko to, co najbardziej godne
widzenia, lecz postanowiliśmy bezwarunkowo
jutro wyjechać, do czego nas zmuszał stan na-
szej kasy. Nie było nam cłodno, nie było
też dotąd i głodno, lecz było bardzo do do-
mu daleko i z tem się zawczasu rachować
należało.

Korci mnie, aby rozpisać się o Gdańsku,
a wystarczyłoby na to otworzyć tylko „Prze-
wodnik“, który mam przed sobą, ale z umy-
słu unikam tego, nie chcąc w tych notatkach
pisać cokolwiek, co nie byłoby moją wyłącz-
ną własnością. Gdańsk liczy obecnie około
studwudziestu tysięcy ludności, i jest bezsprzecz-
nie jednym z najciekawszych miast w Euro-
pie. Cały jego wygląd niezmiernie starożytny
a nawet nowo budujące się domy trzymane
bywają w tym stylu.

(D. C. N.)

Jarosław Pieniążek.

„Cyklista” na wycieczkach.

Lwów—Gdańsk.

(Dalszy ciąg).

Oprócz kościołów, dziś przeważnie na protestanckie zamienionych, najgodniejsze widzenia są: ratusz, giełda i luterański kościół „Marienkirche“, w którym spędziłem ze dwie godziny, a z którego wieży roztacza się widok jedyny w swoim rodzaju na całe miasto i hen daleko na morze. Pamiątek niewiele, a tak się jakoś zdaje, że chyba je umyślnie pousuwano, aby do szczytu zatrzeć całą przeszłość Gdańska.

Jeżeli, jak powiedziałem wyżej, miasto ma wygląd starożytny, przy zaprowadzeniu najnowszych wynalazków i udogodnień, jak komunikacje, kanalizacje i wodociągi, wyborne bruki i chodniki, i niezrównana czystość, to najciekawszym zabytkiem przeszłości jest tak zwana „Frauen Strasse“, w której typ starego Gdańska przechował się prawie bez zmiany. Że miasto jest istotnie tak czyste, jak wspomniałem, wystarczy na dowód powiedzieć, że wedle ostatniego spisu ludności, liczy 67¹/₂% ewangelików, 28¹/₂% katolików i zaledwie 2¹/₂% żydów. Oprócz zbiorów publicznych, godnym jest widzenia prywatne muzeum p.

Giełdzińskiego, zawierające nader cenne okazy prawie wyłącznie takich przedmiotów, które pochodzą ze starożytnego Gdańska. W bardzo przyspieszonym tempie uganiamy się całe rano po mieście, około g. 3-ciej mogliśmy sobie powiedzieć, żeśmy już widzieli niemal wszystko, co w tym krótkim czasie widzieć można było, i udawszy się na *Langenbrucke* kupiliśmy bilety na statek, idący do *Neufahrwasser* i *Westerplatte*, aby jeszcze nacieszyć się morzem.

Już to, co prawda, morze zajmowało mnie nadewszystko, bardziej jak wszystkie cuda architektury, pełną garścią rozsypane po mieście. Z przystani Gdańskiej kanałem na rzece *Motlau* (nie mogłem się dowiedzieć, jak się nazywa po polsku) w przeciągu 15 minut staje się w *Westerplatte*, zkad za dziesięć minut piechotą przeszedłszy piękny park, jest się nad brzegiem morza, które dziś mocno wzburzone dało nam prześliczną kąpiel, dziwnie orzeźwiająca po tyłodniowym zmęczeniu i dzisiejszem forsownem uganianiu się. Po kąpieli przybyliśmy na tamę, zrobioną z olbrzymich brył granitu, wsuniętą na 882 metry w morze, na końcu której zbudowano elektryczną latarnię morską, gdy ta, którąśmy widzieli na Heli, oświeca się pospolitą naftą. Po zwiedzeniu olbrzymich pancerników wojennych poszliśmy na koncert muzyki wojskowej w parku i raz jeszcze nad morze, gdzieśmy milcząco przesiedzieli aż do odejścia ostatniego statku.

A nie chciało nam się ztamtąd oderwać. Najmniej dziesięć razy zdążaliśmy w stronę statku i tyleż razy wracali na wybrzeże. Bo też było i patrzeć na co i czemu się przysłuchiwać. Dalekie, perlister fale zbliżały się do brzegów, rozbijały się o twardą kamienną tamę, czasami ją przesadzały, a morze wydawało z siebie jakiś dziwny jęk, który porównałbym do jęków i wzdychań konającego olbrzyma. Nareszcie noc zaczynała zapadać, nie można było zwlekać dłużej, wsiedliśmy na statek i wśród setek migających się światełek, pochodzących z setek parowców i malutkich łódeczek, przesuwał się po kanale — zajechaliśmy szczęśliwie do Gdańska.

Piątek, dnia 7, sierpnia zaczęliśmy od zapłacenia rachunku w hotelu, który był tak skromnym, że gdybyśmy przedtem byli o tem wiedzieli, można byłoby śmiało jeszcze jeden dzień pozostać nad morzem. Ale stało się i przepało... Pierwszy odpoczynek wypadł nam w Hohenstein, wsi liczącej około 400 mieszkańców. Pora tu wspomnieć, że każda, najmniejsza wieś pruska ma jedną lub więcej gospód, w których czystość rywalizuje z uprzejmością i taniością. Każda też bez wyjątku wieś jest brukowana, tak, że w czasie największego deszczu da-

je się przejść, bez zabłocenia się—gościńce zaś z tłuczonych kamieni granitowych, posypano przesianym z nich piaskiem wcale nie tworzą błota ani kurzu, tembardziej, że są bezustannie zamiatane, z większą starannością niż pierwszorzędne ulice we Lwowie. Już to drogi pruskie to prawdziwy raj dla cyklistów!—Chociaż miałem maszynę ciężką, bo 19 klg. wążącą, na której od czterech lat po świecie się tłukę, chociaż miałem 12 klg. bagażu podróznego, a sam ważę 81 klg., czyli że razem 112 klg. do ciągnięcia, i przebywaliśmy czas od 80 do 150 klm. dziennie,—nigdy nie czułem się zmęczonym. (Dla wiadomości cyklistów dodaję, że cyfry powyższe bardzo ściśle sprawdziłem na wybornej i czułej wadze).

Dziwny to kraj te Prusy!

Z mojego punktu widzenia... okropność—lękam się ich bardziej, niż wszystkich innych krajów cudzych, z których—niepodobna nie uznawać i nie podziwiać tego ich rządu, za jego sprężystość, ład, porządek i wszystko to czego się od silnego rządu wymaga. Czyż nie są jak najbardziej charakterystyczne tamtejsze przepisy i rozporządzenia? W Galicji pisze się szeroko i długo, że na mocy rozporządzenia namiestnictwa, lub Rady państwa wskutek rozporządzenia, zamieszczonego w tym lub owym numerze dziennika praw państwa, z datą tą a tą, numer ten i ów, postanawia się to i owo; i... nikt nie szanuje tego rozporządzenia, a każdy czyni, jak mu wygodniej, lub jak mu się

podoba. Tam inaczej. Przepisy i ogłoszenia wszystkie są krótkie, lapidarne jak n. p.: „*Halt*“ — „*Die Karten in der Hand halten*“:— „*Dritter Bahnsteig*“ lub coś w tym rodzaju, żadnego tłumaczenia, żadnych motywów komentarzy—ale to, co już raz jest i co postanowiono musi być ściśle dotrzymanem. Pamiętam, lat temu kilkanaście, z redakcji jednego z pism, z którym byłem w stosunkach, dostałem polecenie zdania sprawy z odczytu ś. p. ks. W. Kalinki o „*Jenerale Chtapowskim*“. Tyle lat—tyle wrażeń a zostało mi w pamięci jedno zdanie prelegenta: „My nie umiemy rozkazywać a zwykle motywujemy. U nas nie mówi się krótko: „zamknij drzwi“ — tylko się powiada: „zamknij drzwi, bo... wieje“. Otóż to i tam mi na myśl przychodziło. Raz napisane pruskie prawo lub ogłoszenie, streszczone do ostatnich granic możliwości, jest świętem, twar-dem, zupełnem prawem, od którego niema apelacji, a gdy ci przyjdzie wątpliwość, lub chęć opozycji, Prusak odpowie ci „ne“ (zamiast „nein“) i na tem koniec!—A któż czuwa nad wykonaniem tego prawa? Nikt i wszyscy! Żandarma się prawie nie widzi ale czuje go się wszędzie. W tem miejscu nie mogę się powstrzymać, aby nie przytoczyć następującego, znamiennego zdarzenia, chociażby należa-

ło o niem mówić dopiero pod dniem jutrzejszym. Przyjechaliśmy do Kruświcy, a po zwiedzeniu „Mysiej Wieży“ zapragnęliśmy wykąpać się w Gople. Idziemy do właściciela gospody, pożyczamy ręczników i pytamy się, gdzie by się można wykąpać.

— Tu nigdzie, chyba, że panom ogrodnik i dozorca wieży pozwoli na wyspie.

Zwracamy się tam, prosimy o pozwolenie, odmawia.

— Czemu?

— Bo nie wolno; gdybym po wolił panom, musiałbym pozwolić wszystkim: *ich bin consequent, wir sind consequent.*

— Więc się wykąpię pod mostem?

— „Ne!“

— Czemuż „ne?“

— Bo pana zabierze żandarm, jako kąpiącego się w niedozwolonem miejscu i bez majtek.

— Ależ żandarma tu nie ma.

— To nie, możesz pan być pewnym, że się zjawi, gdy tego będzie potrzeba.

Naturalnie, że się nie kąpałem!

(D. C. N.)

Jarosław Pieniążek.

„Cyklista” na wycieczkach.

Lwów — Gdańsk.

(Dalszy ciąg).

Po tem mimowolnem zboczeniu wracam do dalszej historii dnia dzisiejszego. Z Hohensteinu przez most w Tczewie, znany nam już z podróży do Gdańska, dojechaliśmy do Malborka (Marienburg) i zwiedzili dokładnie dawny zamek krzyżacki, utrzymany w dobrym porządku. Odwieczny ten zabytek budownictwa czyni niezmiernie wrażenie, a położony tuż nad Nakłem przedstawia się imponująco, i głęboko wbija się w pamięć. Drugi klucznik, który nas oprowadzał, niby polak, Mieszkowski, wyrażał się takim językiem, że po kilku słowach prosiłem, aby objaśniał nas po niemiecku, bo go nic zrozumieć nie mogłem. Takich „polaków” spotyka się tu pełno, a jeśli jeszcze oni, starzy, jako tako po polsku mówią, dzieci już przerobiły się na zupełnych Niemców. Sprawia to szkoła, ta straszna pruska szkoła, która jest konsekwentna, jak cały ich system; konsekwentniejsza, niż pan ogrod-

nik i nadzorca „mysiej wieży“ w Kruświcy. Nie od rzeczy tu może wspomnieć rozmowę, jaką miałem w Toruniu, przewożąc się na drugą stronę Wisły do kąpieli:

— Czy pan polak? — zapytałem jakiegoś robotnika.

— Polak, panie!

— Coś tu mało słychać polskiej mowy?

— Bo nas starych coraz mniej — a młodzi się wstydzą.

— Czegoż się wstydzą! — polskiej mowy?

— A tak panie, bo im w szkole przewracają w głowie, i uważają to za podłą mowę, chłopską mowę.

— A u pana w domu tak samo?

— Tak samo panie — ja do dzieci po naszymu, a one szwargoczą do mnie po niemiecku.

— Ha — to bić a zatrzymywać swoje.

— A kiej, dobry panie, prusak bije jeszcze lepiej i w końcu na swoim postawi — zakończył rozmowę prawie ze łzami w oczach.

Z Malborka już koleją dojechaliśmy do Inowrocławia, gdzieśmy zanocowali, a w końcu w sobotę, dnia 8 sierpnia wyruszyli w dalszą drogę na cyklu do Kruświcy nad Gopłem. Tu już coraz częściej spotyka się polaków, słyszy się polską mowę, ale też budynki nie tak ładne, nie ceglane, nie kryte dachówką, lepsze pola, lecz gorsza ich uprawa, mniejszy ład i rzadsze porządki, ot tak, jak gdybyśmy chcieli pokazać, że tam tylko dobrze, gdzie nas nie ma.

Z kolei zwiedziliśmy Strzelno, nędzną, brudną, żydowską dziurę, nie wiele piękniejsze Mogilno, gdzie pragnąc oszczędzić sobie noclegu, z powodu spóźnionej pory wsiedliśmy na kolej i pojechali tylko przez Gniezno.

W Ostrowiu zatrzymaliśmy się na nocleg, a na dworcu spotkaliśmy dwóch tamtejszych druhów, czekających na innych, mających przybyć z Wrocławia. Nigdy jeszcze nie doznałem takiego jak tutaj wrażenia, tylu takich a tak sprzecznych uczuć!...

Od niedzieli, dnia 9 sierpnia, często używaliśmy kolei, aby tylko prędzej i dalej. Przelecieliśmy Kluczbork, ztąd do Lublińca i do Herbów, w których granica rosyjska.

Z Herbów pojechaliśmy na maszynach do Częstochowy, gorąco pragnąc podziękować Matce Boskiej za opiekę, którą nas otaczała w ciągu całej podróży i szczęśliwie doprowadziła do celu. Już zdążyła, może na jakie 10 lub więcej kilometrów spostrzeżać się wieżę kościoła jasnogórskiego, i chyba niema polaka i katolika, któremu by żywiej nie zabiło serce i nie zrobiło się wilgotno w oczach na ten widok. Wszystkie opisy, kiedykolwiek czytane, wszystko, co się widziało na obrazku lub w teatrze, staje ci odrazu w pamięci—jedno wspomnienie wypiera drugie, i byłoby

tak bez końca, gdyby nie ohydny bruk, który nie pozwala jechać na rowerze i prawdziwie konstantynopolitańska mnogość psów, które spokoju nie dają.

Obok kościoła wjeżdżamy w aleję i stajemy w hotelu tuż obok dworca kolejowego, gdzie znaleźliśmy spoczynek i nocleg, nie tak co prawda porządny, czysty i tani jak w Prusach niemniej, jednak bardzo nam pożądanym.

W poniedziałek, dnia 10 sierpnia, zaraz rano udaliśmy się na zwiedzenie miasta i klasztoru. Miasto brudne, źle brukowane, cuchnące, przeważnie żydowskie, ładną natomiast jest aleja, ciągnąca się przez całą jego długość, aż do samego klasztoru. Cóż powiedzieć o klasztorze, co o cudownym obrazie Boga Rodzicy? Poprostu nie czuję się na siłach, powiem tylko: wszystko co się tam widzi, czyni wielkie a niezrównane, jedyne w swoim rodzaju wrażenie. Zobaczywszy, co było do widzenia, nie pomijając nawet panoramy „Ukrzyżowanie Chrystusa“, w południe wyjechaliśmy z Częstochowy koleją przez Granicę do Szczakow, ząd już ja sam jeden na rowerze przez Trzebinę, Krzeszowice, i Zabierzów późną nocą dojechałem do Krakowa.

(D. N.)

Jarosław Pieniążek.

„Cyklista” na wycieczkach.

Lwów — Gdańsk.

(Dokończenie).

Ta ostatnia przestrzeń nasuwa mi pewne refleksje, które dla uradowania panów, „przyjaciół ludu” tu spiszę. Wiadomo, że lud, tam mieszkający, od dawna nie odrabiał pańszczyzny, że ten lud był najbardziej uobywatelony. Najeździłem się dość po całej tej części naszej ojczyzny, lecz podobnie złośliwego ludu nie widziałem dotąd. Co chwila spotykałem fury, które mnie wpychały do rowu i słyshałem przemowy tej treści:

— Psia krew, ciarach, pon—jedzie na kółeczku, a cłek musi barować w polu.

— A ustąpże się ciarachu z drogi, bo cię bitem zdzieję.

Nic to jednak wobec następującego epizodu:

Widzę, że gdy się zbliżam do nich, kilku chłopaków zaczyna zbierać kamyki na drodze.

— A czy to na mnie zbierasz te kamyki, mój chłopcze?—zapytuje przyszłego członka stronnictwa ludowego.

— Nie panie — odpowiada mi słodko—my ino tak do celu rzucamy—a gdy, nie zatrzymując się, jechałem dalej, czuję grad kamieni, spadających obok i następujące dosłownie powtórzone słowa:

— Na ciebie złodzieju, na ciebie ciarachu—
wszystkich was wyrzniemy niedługo!

W tych warunkach a do tego samemu, bo towarzysz pojechał koleją wprost do Krakowa — droga nie była zabawną, gdy się zciemniło zupełnie, co chwila musiałem zeskakować z maszyny, aby jej przez złośliwość przejeżdżający ludzie nie uszkodzili. Nakoniec dobiłem do Krakowa, z kądem miałem zamiar pojechać na dokończenie urlopu do Zakopanego. Że jednak zasłociło się i zanosło na dłuższą niepogodę, a drogi były rozmokłe, chcąc nie chcąc kupiłem bilet i koleją dojechałem do Lwowa.

Tak byłem wyczerpany wrażeniami i tak znużony bezsennością, że pogadawszy z konduktorem „na serjo“, zasnąłem już na piątym kilometrze za Krakowem i spałem snem umęczonego aż do jakiejś stacji, na której zbyt długi postój pociągu mnie zbudził. Przeciągam się, przecieram oczy i słyszę następującą rozmowę:

— Czy pan już znaszed swój überzieher?

— Co proszę?

— Czy pan znaszed swój überzieher?

— Tak proszę.

— A w jaki sposób pan go znaszed?

— Obiecałem tregerowi tryngield, a on tak długo szukał za nim, aż zdybał jakiegoś pana, który go przez pomyłkę zabrał.

— Chwała Bogu, ale już trzeci dzwonięni— do widzenia.

— Całuję ruci.

— Ach, co za szkoda, że ten pan Józef taki fałszywy, ale za to bardzo alegancki.

Nie potrzebowałem patrzeć na napis stacji byłem w Przemyślu, poczem wysłuchawszy rozmowy niemieckiej w Gródku, a żydowskiego żargonu w Zimnej wodzie, stanąłem szczęśliwie w „Lembergu“, gdzie odebrano ode mnie „fahrkarte“.

Dla wiadomości kolarzy dodaję, że przez cały ten czas zrobiliśmy na kole 985, a koleją 808 kilometrów, a nocując tylko w pierwszorzędnych hotelach i jadając tylko w najlepszych restauracjach, po odliczeniu 20 rubli, które jako kaucję zostawiłem w Sandomierzu—wydałem po najdokładniejszym obrachunku 116 guldenów austryjackich; wspomnieć

jednak dla ścisłości należy, że przez cały czas pobytu w Warszawie miałem darmo mieszkanie i jedzenie, co dla kogoś wybierającego się na podobną wyprawę nie powinno być bez znaczenia. Na zakończenie dodam, że do tego stopnia nie byłem tą drogą zmęczony, iż nazajutrz po przyjeździe pojechałem na rowerze do Żurawna, a tam zanocowawszy powróciłem do Lwowa, czyli, że w dwóch dniach mogłem wygodnie upalić 166 kilometrów, poczem zabrałem się do napisania tego, co wyżej, a co braciom cyklistom dla zachęty do podobnych wypraw poświęcam.

Wychudłem „jako skwarek, a ciało moje zeschnęło jako siano“, lecz nigdy nie byłem tak zdrow, jak obecnie, i gdy Bóg dożyć pozwoli, a dyrekcja da urlop i pieniędzy na drogę — za rok wybiorę się dla odmiany nad Czarne morze.

Panie Kazimierzu, wypróbowany towarzyszu trzytygodniowej wyprawy — liczę na Ciebie!

Jarosław Pieniążek.
